

Towarzystwo Matematyczne rozwinęło się niebywale; posiedzenia odbywały się co tydzień i nieraz były trzy referaty na jednym posiedzeniu. Liczba rezultatów oryginalnych we Lwowie wynosiła kilkadziesiąt rocznie.

Żona Banacha wpadła na oryginalny i dowcipny pomysł. Ponieważ matematycy schodzili się zwykle w kawiarni „Szkockiej”, kupiła gruby oprawny zeszyt, który otrzymał nazwę „Książki Szkockiej”. Ta książka pozostawała na przechowaniu w kawiarni, a każdy mógł jej zażądać, wpisać zagadnienia z datą i podpisem, a także rozwiązanie. Książka ta obejmowała kilkaset zagadnień, obok wielu z nich były nagrody wyznaczone przez stawiającego. Były zagadnienia, które obiecywały tylko małe piwo lub czarną kawę, i inne, za które można było otrzymać cały obiad lub żywą gęś. Były i takie, za które można było dostać fondu a la creme w Genewie. O książce tej wiedzieli także i ci, którzy nigdy nie byli we Lwowie; bardzo wiele zagadnień pochodziło od Banacha, Mazura i Ulama.

Charakter matematyki lwowskiej zmieniał się w sposób widoczny. Zaczynali wyrabiać się specjaliści w różnych dziedzinach. Mazur zajmował się liniowymi metodami summacji, Auerbach geometrią różniczkową, Schauder równaniami różniczkowymi cząstkowymi, Kaczmarz i Orlicz szeregiem ortogonalnymi, Nikliborc mechaniką nieba i figurami równowagi – że wymienię tych kilka przykładów.

Najciekawszą cechą była współpraca. Na przykład pracę o zasadzie zagęszczania osobliwości napisałem razem z Banachem, pracę o rozkładzie kuli na części, z których następnie można złożyć większą kulę zrobił Banach z Tarskim, pisali też razem Mazur z Orliczem, młodszy Łomnicki z Ulamem, Ruziewicz z Sierpińskim itd. Łącząc nazwiska współpracujących liniami można było dojść z Polski do matematyków każdego z głównych krajów świata.

Można było wyróżnić „szkoły”. Szkoła Banacha zajmowała się teorią operacji, szkoła Kuratowskiego topologią, szkoła Chwistka logiką matematyczną; ja starałem się skierować zainteresowania moich uczniów w kierunku rachunku prawdopodobieństwa i matematyki stosowanej. Na Politechnice Bartel zajmował się stosunkiem geometrii wykreślnej do artystycznego przedstawienia przestrzeni; w tym celu studiował włoskie sztychy i obrazy i wydał o nich piękną rozprawę. Długo radziłem się przyjacielu, czy mam się odważyć na seminarium z fizyki matematycznej; za radą dra Blumenfelda zdecydowałem się na to, i razem z Banachem, przy pomocy dra Blumenfelda, prowadziliśmy przez rok takie seminarium. Wprowadziło to dosyć kulawo, ale zmusiliśmy kilku studentów do zapoznania się z rzeczami, których by zapewne bez tego nie oglądali.

Innej znowu pracy dostarczało nam ministerstwo przez ciągłe zmiany, reformy i ankiety.

Wprowadzenie magisteriów i systemu trymestralnego zmusiło każdego z nas do egzaminowania po kilkadziesiąt osób trzy razy do roku. Z początku odbywaliśmy te egzaminy razem, w jednej sali, przy kilku dużych tablicach równocześnie. Było to męczące dla nas i dla studentów. Potem przeszliśmy do innego systemu: każdy egzaminował w swoim gabinecie; kandydat musiał jednak poddać się dwóm takim egzaminom, a egzaminatorzy po naradzie we dwóch ustalali wynik jako wypadkową z wypracowania pisemnego i dwóch ustnych przesłuchań. Ten sposób miał tę zaletę, że egzaminatorzy mogli sami zobaczyć, czy umieją poprawnie egzaminować. Wkrótce doszło do tego, że liczba tych kandydatów, co do których trzeba było dyskutować notę, nie wynosiła więcej niż 10%; przypadki jaskrawej sprzeczności not (bardzo dobrze – niedostatecznie) zdarzały się chyba nie częściej niż raz na sto.

Obok tych egzaminów mieliśmy też inne; raz Wydział nasz postanowił ograniczyć liczbę przyjmowanych studentów i uzależnić przyjęcie od wyniku egzaminu wstępnego. Zdarzyło mi się, że matka jednej z kandydatek spalonych przeze mnie przysłała do mnie, gdyż córka, która odznaczała się w szkole jako matematyczka, nie mogła przeboleć tego, że jej koleżanki, które pobierały u niej lekcje, zdały, a ona nie. Poradziłem matce, by przysłała córkę do mnie, a ja jej wytłumaczę, jak mało traci student na formalnej stracie roku, jeżeli pracuje. Zaledwie nikły odsetek kończy studia w minimalnym ustawowym czasie i niemal zawsze spóźnianie się z egzaminami ostatecznymi zatrzymuje studenta. Matka dała się przekonać i przysłała córkę. Ta w rozmowie ze mną przyznała się, że jej celem było studium architektury na Politechnice Lwowskiej, i że tam odrzucona – zgłosiła się na Wydział Matematyczno-Przyrodniczy Uniwersytetu. Zapytałem, jaki gmach we Lwowie

najbardziej się jej podoba. Wskazała na dom kawiarni „Ritz” („Louvre”), olbrzymią budę w stylu wiedeńskiej secesji, obładowaną ciężkimi sztukateriami z ciemnego cementu. Zapytałem o katedrę łacińską. Nie wiedziała, gdzie się ten kościół znajduje. A przecież spędziła wszystkie lata gimnazjalne we Lwowie i to, że była Żydówką chyba jej nie usprawiedliwia! Jako kurator Towarzystwa Żydowskich Studentów miałem do czynienia z tą młodzieżą. Nie byli z pewnością gorsi od przeciętnej, z pewnością lepsi od tych, którzy napadali na nich, uzbrojeni w noże i kastety, ale mieli mało wychowania i wrodzonej kultury, a już zupełnie byli pozbawieni instynktu politycznego. Stanowili około 30% ogółu studentów, a ponieważ rzadko byli zwalniani od opłat, więc ich wkład stanowił około 50% tych funduszy, z których znowu większość, a więc około 90% szło na budowę domów akademickich i burs, do których oni sami nie mieli wstępu. Po ukończeniu studiów mieli zamkniętą karierę administracyjną, niemalże niedostępny zawód nauczycielski, a ponieważ wydział medyczny przyjmował ich zaledwie 10%, przy znacznym ograniczeniu liczby ogólnej przyjęć, więc bardzo niewielu mogło liczyć na uzyskanie dyplomu lekarskiego. Na Politechnice było dla nich nie lepiej. Zamiast wysnuć z tego jedyny politycznie jasny wniosek, to znaczy zrezygnować ze studiów wyższych, zamiast przedstawić swoją sytuację jasno urbi et orbi, oni skarżyli się w prasie syjonistycznej na różne krzywdy, wymieniając poszczególne przypadki dyskryminacji, powołując się na zasady humanitaryzmu i demokracji, i zupełnie nie rozumiejąc, że społeczeństwo, które ich otacza, mało z demokracją ma wspólnego. Nie znali historii i nic nie wiedzieli o strajku szkolnym w Królestwie w roku 1905. A przecież mogli doskonale zorganizować nauczanie prywatne, tajne lub jawne, tak jak Polacy w 1905 roku. Rzeczywiście zorganizowali. Ale nie oni jako całość, lecz kilku sprytniejszych, którzy utworzyli kursy przygotowujące do egzaminów. Za kilkaset złotych można tam było przygotować się do każdego egzaminu, co więcej – można było za kilkaset złotych kupić sobie pracę dyplomową, egzaminacyjną lub doktorską z dowolnej dziedziny. Gdy raz wyszła sprawa na jaw i przyłapano na Politechnice taką pracę, oburzenie profesorów bardzo szybko się uspokoiło, bo ze skrupulatnie prowadzonych notatek „rektora” tajnej „akademii wszechnauk”, wynikało niezbicie, że synowie profesorów Politechniki uzyskiwali tytuły inżynierów dzięki pracom zakupionym w tejże „akademii”. Tak więc wytworzyli porozumienie bardzo typowe z tą młodzieżą, która ich wyrzucała z ławek audytoriów; dzięki temu porozumieniu praktycznie usposobiona część młodzieży żydowskiej sprzedawała wiedzę potajemnie tej części młodzieży polskiej, która wyróżniała się raczej gotówką i brakiem skrupułów, niż pragnieniem wiedzy.